1. Marca. **Nr. 18.** 1868 roku.

Wychodzi w **niedzielę**, z dodatkiem **muzykaljów, mód, wzorów i krojów.**

Cena:

kwartalnie . . . . 1 złr.
półrocznie . . . . 2 „
rocznie . . . . 4 „

Z dodatkiem:
kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. Za przesyłkę pocztową dolicza się 15 ct. kwartalnie.
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

pismo tygodniowe
z dodatkiem muzykaljów i mód.

Listy *franco* przysyłać należy: „Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa w Administracji „Gazety Narodowej.“

NA STEPIE.

Pomówka kozacka

przez

Paulina Stachurskiego.

(Dokończenie.)

V.

Nie tak to mała siła musi spoczywać w krasawicy stepowej, kiedy ot wandrowali my po Zaporożu, Tureczczyźnie — a taki przychodzi wrócić na step, dowiedzieć się: co porabia sinooka Handzia?

Nie mało wody upłynęło w Dnieprze, nie raz zmieniał *łuh* stepowy swoją wzorzystą powłokę, wiosna za zimą, kilka ich, przeleciały po świecie — a krasawica jak była tak i jest jednaką; wiadomo: na to się *wdała* od przyrody, by ludzi czarować krasą!

A kogo oczarowała Handzia?

Czy jednego! A już najbardziej Ochrymowego Wasyla, z nieblizkiego futoru, bo aż z za Rosi. Het głowę stracił parobek!

Powiem jak się to przytrafiło.

Może już i rok bez mała, kiedy to u strugi przydybali Handzię kozacy, że się ledwie odczepiła termołamą. Jeszcze teraz śmiech ją zbiera na wspomnienie... Cały ten rok żyła Handzia w chacie ojcowskiej, jak u Boga w gościnie — ani wie: co troska i hore! Wesoła, szczebiocze niby mała ptaszyna, cieszy starość ojcowską, i tylko czasem okryje się chmurą gładkie liczko dziewczęcia, westchnienie dobędzie się z piersi... ale to nie na długo! Zaśpiewa ptaszę w gaju, kwiatek kiwnie do Handzi malowaną główką — i znów wesoło dziewczynie! pustuje, że aż samej dziwno... Bo ona już nie maleńka, już nie ta Handzia, co to była dawniej... o nie! Nie jeden parobek mówił, że ją kocha, że kochać będzie po wieki!... a ona dobrze słyszała jak chwalono Handzię, że ładna... Albo ci kozacy! To chyba nic? Oho!... Ale co ją oni obchodzą!... co jej tam do wszystkich ludzi?... Dziewczynie tak nudno... tak trudno na świecie... że nie raz zapłacze, choć i sama nie wie czego...

A ja wiem! Bo to już swój czas przyszedł na dziewczynę...

I taki przyszedł!...

Jakoś czy nie przed miesiącem, kiedy Handzia była u strugi ulubionej, dopytał się do chaty starego Kłyma, Handzinowego ojca, młody Wasyl, parobek; z jakimś dziełem przybył do futoru. Wchodzi do świetlicy — ta wszedł że, bodaj czy nie na własne licho!...

— *Pomahaj Bih!*

— Daj Boże! Prosimy do chaty.

Rozmówił się Wasyl ze starym Kłymem; jużby mu i do domu pora — źbiera się; wtem... nu już to serce! zasłyszał srebrny dźwięczny głosik, śmiech jak dzwoneczków odgłos; tak mu się dziwnie zrobiło...

Lekka, niby boża ptaszyna, ustrojona w wieńce kwiecia, wbiegła do świetlicy dziewczyna — słońce jasne! i rzuca się staremu na szyję.

Bywał że Wasyl po świecie, widywał różne... a takiej krasawicy i we śnie nie przyśnił!... Zbladł jak chusta, to znów czerwienieje jak polne maki; serce zabiło żywiej, nogi się zachwiały... możeby i upadł, gdyby nie ściana, o którą wsparł się w potrzebie!... a oczu to ani oderwać od młodej dziewczyny!... zczarowała do razu!

Nie lekko i Handzi przyszło powitać parobka!...

Łyszeńko! — pomyślała w duszy — tego samego nie raz we snach widziała... — I śmiać się przestaje, oko w ziemię spuszcza, a na liczka taki rumieniec wybiega, że z róży we włosach nie zostało znaku — znikła przy krasie rumieńca!

Oto *pryhoda* trafiła się młodym!... aż stary Kłym uśmiecha się serdecznie, widząc ich kłopot nie mały.

Ani rusz, żeby przyjść do rozumu!... Zaczął Wasyl coś o pługu, a skończył na kwiatach... Handzia, zamiast podać na stół barszczu, niesie sitko od nabiału... poprawiła się i podaje — rantuch wyszywany... a dalej widzi, że nie da sobie rady, rzuciła się na szyję ojca, i rozpaloną główkę ukrywa na jego piersi, a z pod oka taki spojrzała na gościa...

Stary całuje *donię*, uśmiecha się do Wasyla, (a dobrze zna jego ojca!) i pyta: czy widział w stepie piękniejsze kwiaty od Handzi sinookiej?...

Dziewczę bardziej jeszcze płonie; parobkowi tak się robi duszno, że aż wychylił się za okno nabrać świeżego powietrza...

Dziwa, taj koniec!

Ledwie-nieledwie zjedli objad, a i to Kłym pomagał wylewać z garnków, bo Handzi niebodze wszystko się plątało... co nie-weźmie do ręki — zewsząd ten rusiawy parobek patrzy na nią czarnem okiem: z makutry, z wałka, z obrazów, z obrusa — takie dziwo!

Po objedzie stary Kłym zdrzemnął się na ławie, a młodzi wyszli do wiszniku.

Tam dopiero cały świat inny się im pokazał! Niebo jaśniejsze, zieleńsza trawa i kwiatki niby gdzieś z nieba — takie cudowne... Skończyło się na tem, że Wasyl do późnej nocy zabawił w futorze, a tak mu było ciężko odchodzić do swoich... I taki nie poszedł! całą noc przebłąkał koło chaty. A Handzię również o sen nie pytaj — okiem nie zmróżyła, myśląc o Wasylu.

Może by i długo nie mówić, że się pokochali młodzi, jak sokoł z gołąbką jasnopiórą?... Tyle tylko było dziwoty Wasylowi, że wyrosł nie tak to daleko od futoru starego Kłyma, i o Handzi dowodziło mu się słyszeć, a tak późno obaczył słońce jasne — dziewczynę sinooką!...

A Handzia sobie dziwuje, że we snach nieraz widziała Wasyla, a teraz dopiero ma przed oczami orła pysznego, ma go przy swem sercu — bo prawdy nie utaić: prędko młodzi zaznali czystych nieba roskoszy! Serce przypadło do serca, dusza zlała się z duszą — to już o ustach nie pytaj! One u ust lubego! — Serce zamiera w szczęściu, świat z przed oczu ginie... Cudne, cudne to kochanie stepowe!

Prędko zeszli się młodzi, i ojcowie nie marudzili.

— Pokochali się dzieci.

— A pokochali!

— To niech się pobiorą!

— A daj im Boże!

— Wasylu!

— Handziu!

Młodzi upadli ojcom do nóg; wszyscy popłakali się od szczęścia, i stanęło, że dawnym obyczajem poszle Wasyl swatów, a sam tymczasem pójdzie jeszcze z wałką do Kijowa.

Nam by wiedzieć, że Wasyl czumakował. Do kozactwa nie dał go stary Ochrym, bo czterech synów miał na Zaporożu, i sam z nimi chodził do Krymu... Dola nie poszczęściła: śmiały pochód przepłaciło kozactwo głowami. Na własne oczy widział Ochrym śmierć synów, jak skonali na żelaznym haku... Przecierpiał lata w srogiej niewoli, wrócił na step z sercem zakrwawionem, i pożałował najmłodszego syna. Sam rycerz chrobry, głuszył w dziecku popędy wojenne, w czarnych kolorach wystawiał mu wojnę i życie siczowe, zaprawiał go do roli i cichego życia w ustroniu... Dokazał swego! Wasyl wyrosł na parobka, a o kozactwie ani pomyślał: sercem całem ukochał step i łany, skromną chatę futoru i życie pracowite; a kiedy widok gęsto rozsianych mogił smutnie nastrajał jego duszę — brał do ręki teorban, i wyśpiewywał tęsknicę cudną dumką, której mu nigdy nie zabrakło.

Muzyką podbijał serca wszystkich, pięknością rysów uderzał, a daleko na około znaną była poczciwość Ochrymowego Wasyla, którego wszyscy kochali, któren kochał wszystkich...

Kiedy niekiedy słał go ojciec z wałką do Kijowa i miast innych, by trochę światu obaczył; ale Wasylowi dobrze było tylko w ojczystym futorze, roskosznie sercu, gdy cieszył starość ojca, i śpiewał tęskne dumy, przy dźwięku strun teorbanu. A kiedy Handzię obaczył, pokochał duszą szczerą — o, jakże mu trudno było, po raz pierwszy w życiu, spełnić wolę ojca — na czas krótki rozstać się z miłą!...

Serce! serce! czegoś ty takie dziwne u wszystkich?...

— Wasylu! — mówi Handzia ze łzami. — Czy to prawda, że mnie porzucisz? Na długo?...

Wasyl westchnął, ciężko westchnął.

— Czemu by nam nie zostać z sobą wiecznie, kiedy sercu tak potrzeba zostania?...

— Gwiazdko moja świetlana! — woła parobek, czule przyciskając lubą do serca — cóż ja na to poradzę, gdy ojciec każe odjeżdżać? a ojca czy można nie usłuchać?... Ale ja wrócę! prędko powrócę... Bóg mi drogę zmniejszy — i już się z tobą nie rozstanę nigdy!

— Nigdy? — pyta dziewczę, okiem tonąc w duszy lubego.

— Nigdy! — odpowiada Wasyl z zapałem; a serca przez usta powtarzają: »nigdy!« dusza mówi duszy, że się nie rozstaną — nigdy!

. . . .

Poszedł Wasyl do Kijowa — na tamten świat poszedł! I Handzię zostawił umarłą, bo nie ma jej życia bez miłego.

Wieki minęły w czarnej tęsknicy; z łez ulał byś morze, a westchnień na stepowy wiatr by starczyło... Wieki młodym słońce nie świeci, nie cieszą ich kwiaty, i powietrza braknie na świeży oddech... aż przyszła chwila upragniona!

Niebo otwarło się dziewczęciu, anioły zstąpiły chórem; a jeden między niemi świetlany — Wasyl jasnowłosy! Rzuciła mu się na szyję, oplotła wdzięcznemi ramiony... Gdzie raj, gdzie niebo bardziej roskoszne, nad ten uścisk powitania lubego?

— Wasylu! ty już mój? — woła dziewczę w nadmiarze szczęścia.

— Z tobą! z tobą, zorzo jasna! — odpowiada szczęśliwy — i już na wieki!

Nie wypowiedzieć roskoszy, nie odmalować szczęścia!... Trzeba go zaznać samemu, trzeba mieć, a wtedy — na nic opisy!

. . . .

Znacie wy swaty ukraińskie?...

Stary Kłym wie o dniu naznaczonym. Ubrał się odświętnie; w świetlicy czysto jak w lusterku, stół nakryty białym obrusem, na nim bochenek chleba; przed bogami palą się poświęcane świeczki.

Handzia, jak boża ptaszyna, szczebiocząc przebiega świetlicę; porządkuje, a czas-do czasu ukradkiem wyjrzy przez okno: czy nie idą? czy jeszcze nie widać?...

Stary Kłym ma dobre oczy... Serce bije mu w piersi, jak za własnych czasów; uściskał by szczęśliwą donię, ale zwyczaj każe zachować w tym dniu powagę... Stary wstrzymuje się od czułości i odmawia modlitwę.

Raz jeszcze rzuciła Handzia okiem na podwórko, i stanęła, a serce bić przestało... Ledwie-nieledwie wyszepnąć mogła: »Tatu!« okiem wskazując na podwórze — a sama rumieni się jak wiśnia.

Stary wie co to znaczy. I jemu serce zabiło, bo ważna zbliża się chwila: dziś jedyne dziecko — jego raj na ziemi, wybiera sobie towarzysza na całe życie... Wielka chwila!

— Idź doniu do komory — mówi ojciec, żegnając się trzykrotnie — i nie wychodź, póki nie zawołają.

Strasznie było by Handzi w tej chwili, bardzo strasznie!... bo nigdy nie widziała ojca tak bardzo poważnego; ale na podwórku dojrzała Wasyla... już się jej nic złego nie stanie!

Ledwie przymknęła drzwi od komory, ozwało się trzykrotne stuknięcie do drzwi wchodowych.

Jak rybka w wiencierzu zatrzepotało się serduszko Handzine; ciekawa patrzy: co będzie się dziać w świetlicy?

Kłym milczy — niby nie słyszy pukania.

Puk! puk! puk! — jeszcze raz.

Nie ma odpowiedzi.

Trzeci raz zapukali swatowie. Wtedy odzywa się stary:

— Kiedy dobrzy ludzie, to prosimy do chaty — a sam żegna się krzyżem świętym.

Wchodzą swatowie. Dwóch ich — ludzie poważni; za nimi Wasyl — niby na śmierć idzie, taki nie pewny losu.

Weszli, pokłonili się bogom i gospodzie; a Kłym pyta:

— Co wy za jedni? ludzie dobrzy.

Swatowie najpierw oddają chleb, który z sobą przynieśli, a gdy Kłym poprosił ich siadać, pierwszy swat zaczął:

›My ludzie porody niemieckiej, a idziemy z ziemi tureckiej. Polowali — nic nie upolowali, ot tego kniazia spotkali. (Tu Wasyl powstał, i kłania się, bo o nim mowa.) Kniazia nie minęli — takie od niego słowo usłyszeli:‹ Był ja na łowach w wielkich borach; wypadła na mnie łasica, czy piękna dziewica. Jeść i pić bym nie chciał — byle bym ją dostał. Wy łowcy mołodcy! dziewczynę mi dajcie, i jakiej chcecie nagrody żądajcie. Dziesięć miast dam za nią — to jeszcze tanio! ›My to usłyszeli — w bory polecieli, łasicy dziewicy długo szukali — tu się zabłąkali. Nie poszła-ż ona w bór, tylko w wasz jasny dwór. Darmo nie chowajcie — za kniazia ją dajcie. Czy dacie ją nam radośnie, czy niechaj jeszcze rośnie?‹

— Co to za napaść taka! — niby gniewnie mówi Kłym. — Doniu! a chodź no tu na poradę.

Wyszła Handzia — jak ten róży kwiat. Oczka w dół spuszczone; jedna ręka bawi się z długą kosą, a druga mnie koniec fartuszka. Stanęła koło pieca, i niby gospodarzy.

— Ot biedy narobili — mówi Kłym do swatów. — Mnie przestraszyli, córkę zasmucili, że dalej piec rozwali... Ha cóż robić! Żebyście nie myśleli, że my wam złe chcieli, to my tak zrobimy: chleb przyjmiemy, was tu powiążemy, pokłon oddamy — dalej posłuchamy!

— Handziu! a wynieś no czem łowców powiązać.

Handzia milczy, bo tak każe zwyczaj.

— *Ot tak pak!* — mówi Kłym — może i powiązać czem nie masz? Takich lat dożyła, a nic nie narobiła. Poszukajno w komorze. Pochwal się przed zamorskimi ludźmi!

Wychodzi Handzia do komory; wynosi cudnie wzorzyste ręczniki, które sama wyszywała.

Powiązano niemi swatów, i dalej poszedł obrzęd z przemówieniami, śpiewem i t. d. jak jest u nas w zwyczaju; ale mi tu o nim mówić nie pora...

Wszystko poszło jak należy! Drużki śpiewają pieśni; stary Kłym z Ochrymem szczęśliwi, częstują gości; o Wasylu i Handzi nie mówić: ręka w rękę siedzą na miejscu *poczesnem*, i szczebiocą jak ptasząt dwoje.

Dziewczęta widzą, że młodzi o całym świecie zapomnieli patrząc się na siebie — jak nie zaśpiewają:

„Oj ty hałoczko,
Nasza Hanoczko!
Łamlite rożeńku,
Stelite dorożeńku,
Szczob miałko stupaty,
Na dwir tanciowaty."

A tu jak nie zagra za drzwiami muzyka! Jak nie rzucą się dziewczęta i parobcy — ta do drzwi!... Stanęli wszyscy... Jakiś podróżny wchodzi do świetlicy. Strój kozacki, włos biały, długa broda... Patrzy na wszystkich.

Stary Kłym wpatruje się pilnie w twarz przybyłego — te rysy znane mu...

— Duch święty! — woła, żegnając się — Artem?...

— On sam, bracie rodzony! To jeszcze można poznać zatoczeńca? bo ja ledwie przypominam starą naszą chatę... Gdzież ojciec? matka?... pomarli?

— Dawno!

— A?... — i nie dokończył.

— Razem z m o j ą poszła do grobu. Nastia mi zostawiła o tę sierotę...

Artem otarł łzę ze starego oka.

— Cóż tu u was: wesele?... Czy to o n a?... Podobna do matki... A no, to nie przeszkadzajmy młodym. Gra muzyka — niechaj tańczą zdrowi. — Kłyme! wiele lat jak my się nie wiedzieli?...

— I widzieć nie spodziewał się... — mówi Kłym, ocierając łzę z oka.

Starzy zaczęli rozmowę o dawnych czasach; młodź wyszła i hula na podwórzu.

Wasyl z Handzią — już i nieba nie chcą... Za cztery niedziele ślub, za cztery niedziele niebo! Czegoż im teraz chcieć jeszcze?...

Do ciemnej nocy zabawili goście.

Nu już hulali! To i starzy nie zapamiętają lepszej zabawy!... A Semko Kwitczyn z Paźką Kowalczyną tyle dokazywali, tak już weselili wszystkich, że i Artem czoło rozmarszczył, a kiedy czarkę, drugą wychylił — takiego urżnął tropaka, że się aż ziemia trzęsła!...

Na swaty hulali tak ochoczo — a cóż to będzie na weselu? Wspomnisz — nogi się trzęsą do tańcu!... Tam już wesele wyprawi stary Kłym! będzie o czem wspominać do poźnej starości.

Ach, żeby prędko do tej czwartej niedzieli! (D. n.)

Po śmierci.

Komedja w jednym akcie,

Bronisława Komorowskiego.

(Dokończenie).

Scena XIV.

DAWNI, BARON.

BARON (*do pana Tomasza.*)

Mon chér — co to ma znaczyć? komedja dantejska!...
Co tu robisz? Pytałem: gdzieś wyszedł? Mówiono
Żeś tu zszedł — (*rozgląda się po pokoju.*)
tu — jakto? (*na wieniec laurowy.*)
Wieniec ci złożono?...
(*głosy z ulicy.*)
Co znaczy to pospólstwo zebrane przed domem?...

PIOTR (*d. s.*)

To pewnie cielec!...

PAN TOMASZ.

Robią aktora ogromem!
Nieśmiertelnym!...

BARON.

Aktora?!

PAN TOMASZ.

Stał tutaj komornem —
Czart mi naniósł!... no, umarł!...

BARON.

A, to jest potwornem!...
Lecz co pan robisz tutaj?

PAN TOMASZ (*zaskoczony, wyjąka.*)

Ja... ja?... chcę go wskrzesić...

BARON.

A, fe!... to nie popłaci!

PAN TOMASZ (*łagodząco.*)

A potem, powiesić
Swoją drogą — to czyni się dla reputacji...

BARON.

Objekt nie godny trudów...

PAN TOMASZ.

Hm — tak... dla sensacji — —
(*głosy pod oknem.*)

PIOTR (*idzie do okna, i przemawia do zgromadzenia.*)

Uspokój się narodzie! twój król...
(*głosy pod oknem.*)

PAN TOMASZ.

Niechaj zdechną!...

NAROWKA (*głos, pod oknem.*)

Właśnie zdecydowano ogólnie powszechną
Żałobę! mianowicie: krepę — i przez trzy dni
Powściągliwość od zabaw i ślubów! Ohydni,
Co się wyłamią z tego, staną pod infamją
Publiczną!...

BARON.

Jakto?...

PAN TOMASZ.

Co to?... Niech karki połamią
Z tą żałobą!...

BARON (*do pana Tomasza.*)

Za dwa dni popielec, i oto
Dla żałoby nie można wziąść ślubu!...

PIOTR (*ucieszony, n. s.*)

To, to, to!...

BARON (*do przerażonego pana Tomasza.*)

Słyszałeś panie teściu?

PAN TOMASZ (*wściekły.*)

Nie wolno się żenić?...

PIOTR (*spokojnie.*)

Przepadło — głos powszechny — tego nam nie zmienić!...

BARON.

Słyszałeś panie?

PAN TOMASZ (*biega po pokoju, odgrażając się.*)

Hola! już nadto tej drwiny!...

BARON (*do siebie, drwiąco.*)

Złość się ty! lecz gdy nie chcesz utracić czupryny,
To nie wydawaj córki przed owym terminem —
Po prawdzie, mnie nie bardzo chce się być twym synem...
Myślałem coś o Stasi... gąska! — papy córka!
Może mam jeszcze czekać na nią?... Daję nurka
W tej chwili...

PAN TOMASZ (*chodząc gwałtownie, zezłoszczony.*)

Dla głupiego pajaca!...

BARON (*kłaniając mu się nizko.*)

Do wzięcia
Córka — mam inne myśli... (*odchodzi.*)

PAN TOMASZ (*jakby piorunem rażony.*)

Co? co?... łapcie zięcia!...
Hej! baronie!... (*wybiega za Baronem.*)

Scena XV.

PIOTR, ICEK (*po chwili.*)

PIOTR (*radośnie.*)

Sto djabłów! ta ostatnia scena
Najlepsza! (*woła przez drzwi do Walerego.*)
Stasia wolna!

WALERY (*z za drzwi.*)

Co mówisz?!...

PIOTR.

Już cena
Papy nie taka straszna będzie!...
(*wchodzi Icek żyd. Piotr do Walerego przez drzwi.*)
Sza! żyd — kania!...

ICEK (*rozpaczliwie.*)

Gwałt! na co takich głupstwów? na co umierania?
Na co było przed termin pozamykać powiek?...
Aj, waj! zaczekać nie mógł? taki młody człowiek!...

PIOTR (*n. s.*)

Djabli żyda przynieśli!...

ICEK (*do Piotra.*)

Ty, ty biedny sługa —
Pomów, co będzie z moim dług? gdzie mego długa?...
(*głosy na ulicy.*)

PIOTR.

Słyszysz? — to wielki człowiek był!...

ICEK.

Co to na świecie?...

PIOTR.

Za ten dług niech cię tylko wypiszą w gazecie — —

ICEK.

Nu, co z tego?...

PIOTR.

Co? jakto, ty nie wiesz co będzie?...

ICEK (*biorąc go poufale pod ramię.*)

Nu?...

PIOTR (*tajemniczo.*)

Z wdzięczności dostaniesz — arendę!...

ICEK (*podskoczył.*)

Arendzie?!...

PIOTR (*poważnie.*)

Tak, tak — to wielki człowiek!...

ICEK (*ucieszony.*)

Aj, waj! jaki duży!...
Ja uciekam w gazecie!... (*wybiega.*)

PIOTR (*do Walerego przez drzwi.*)

Poszedł — aż się kurzy!
Hej! arendy mu dajcie!... (*wchodzi pan Tomasz zrozpaczony.*)
Sza! sza!... papa wraca —

Scena XVI.

PIOTR, PAN TOMASZ, po chwili WŁADYSŁAW, jako Notarjusz.

PAN TOMASZ.

I to wszystko przez tego hołysza — pajaca —
Przez tego komedjanta, co umarł za wcześnie,
Ja mam tracić... barona!... O, o! to boleśnie! (*pada w krzesło.*)
Baron!... zięć mój! mój baron!...

WALERY (*przez drzwi cicho do Piotra.*)
Coż tam?...

PIOTR (*odpowiadając cicho.*)
Papa płacze —

WALERY (*j. p.*)
Łzy oczyszczają serce —

PIOTR.
A rozum, rozpacze!..
(*wchodzi Władysław jako Notarjusz.*)
Chwała Bogu! już mamy swego notarjusza!
Katastrofa nadchodzi!...
(*Władysław wszedł i rozmawia cicho z Piotrem.*)

PAN TOMASZ (*ochłonąwszy nieco, n. s.*)
Gdyby jedna dusza
Mówiła po mej myśli!... jedna ze mną zgodnie
O aktorach!... i patrzą jak na jaką zbrodnię
Chodzącą, gdy im przeczę... (*po chwili.*)
Ha, w tem coś być musi! (*wstaje.*)
Baronie! niech cię jasny magnetyzm zadusi!
Oszukałeś mię nędznie!

PIOTR (*rozmówiwszy się z Władysławem, woła do Walerego.*)
Już!...

WŁADYSŁAW (*głośno.*)
W imię urzędu
Otwieram drzwi!...

PAN TOMASZ (*zrywa się na te słowa i zabiera szkatułkę*)
Ha! pora zabrać się do błędu
Organicznego!... całą pociechą on jeszcze!...
Bo jeśli nadto moje magnetyczne kleszcze
Omylą: to już i ś c i e! chyba się powiesić!...

WŁADYSŁAW (*otworzywszy drzwi.*)
Proszę zatem..

PAN TOMASZ (*z westchnieniem.*)
Bożeńku! dajże mi go wskrzesić!
(*odchodzi z Władysławem w drzwi z lewej.*)

Scena XVII.

PIOTR (*sam.*)
No, komedja się kończy!... a! odetchnąć przecie!...
Ale jakże misternie wszystko nam się plecie —
Nad zamiar!... (*zagląda do pokoju Walerego.*)
Już — już papa rozpoczyna cudy...
Macha ręką nad trupem!... nie zrażają trudy,
Macha a macha!... teraz pod nos coś przytyka...
Coś drażniącego pewnie...
(*słychać głośne kichanie w przyległym pokoju.*)
Masz!... wiwat praktyka!
Zmartwychwstanie!...

PAN TOMASZ (*krzyczy z całej siły w przyległym pokoju.*)
Wiktorja! i ś c i e! żyje!... dycha!...

WŁADYSŁAW (*j. d.*)
Na Boga! niesłychane!...

PIOTR (*wbiega do pokoju Walerego, krzycząc sobie.*)
Żyje?!...

PAN TOMASZ (*j. p.*)
Kicha — kicha!...
To znak życia!

WŁADYSŁAW (*j. p.*)
Otwiera oczy!...

PIOTR (*wrzeszcząc.*)
Gwałtu! żyje!
(*wybiega z drzwi lewych, przebiega pokój, i oddala się drzwiami w głębi.*)
Żyje! ludzie, on żyje... (*głos ginie w korytarzu.*)

PAN TOMASZ (*j. p.*)
Żyje!... serce bije...
Wody! wody!... nacierać mu tętna gwałtownie!...

WŁADYSŁAW (*j. p.*)
Westchnął...

PAN TOMASZ (*j. p.*)
Chwała ci Panie!...

WŁADYSŁAW (*j. p.*)
Prawdziwie, cudownie!...
Pomóżmy wstać mu... całkiem niech przyjdzie do siebie!...

PAN TOMASZ (*j. p.*)
Niech zrobi parę kroków...
(*po chwili wyprowadzają z drzwi lewych Walerego pod ręce.*)

Scena XVIII.

PAN TOMASZ, WALERY, WŁADYSŁAW.

WALERY (*kichnąwszy, mówi słabym głosem.*)
Zda się, byłem w niebie...
(*kicha — a nie mogąc się powstrzymać, zatyka nos dłonią.*)
Słodki sen!...

PAN TOMASZ (*zadowolony nadzwyczajnie.*)
No, no — któżby chciał się w grób położyć
W takim wieku?... Djabelnieś młody, możesz dożyć
Jeszcze szczęścia na ziemi...

WALERY.
Tak, tak — życie miłe...
Pragnę życia...

PAN TOMASZ.
Ej, będziesz, będziesz żył!...
(*sadzają Walerego na krześle.*)

WALERY (*po chwili, słabo.*)
Mogiłę
Któż zdjął ze mnie?... ach, komuż mam być wdzięcznym?...

WŁADYSŁAW (*pokazując z uszanowaniem pana Tomasza.*)
Oto
Twój zbawiciel...

WALERY (*gorąco, ściskając dłoń pana Tomasza.*)
Ach, panie!...

PAN TOMASZ (*ucieszony.*)
Tak, tak! Parka Kloto
Zawstydzona!... Mam sposób nadzwyczajny... własną
Teorję...

WŁADYSŁAW (*patetycznie.*)
Tak, prawdziwie, cudowną!... Choć zgasną
Słońca, gwiazdy, księżyce — ta trwać będzie wieki!
Głos publiczny rozniesie ją jak świat daleki,
I słusznie!... A że los mi pozwolił przypadkiem
Tego żywego cudu być naocznym świadkiem:
Więc święty obowiązek mój w obec ludzkości
Każe ten fakt co rychlej dać do wiadomości
Powszechnej... zwłaszcza nawet, że wieścią przedwczesną
O śmierci tego pana — tak wszystkim bolesną —
Zatrwożone zostały szlachetne umysły — —
Pozwól więc pan dobrodziej ogłosić mi ścisły
Opis całego faktu we wszystkich dziennikach...
Sługa — sługa najniższy... (*wychodzi.*)

Scena XIX.

PAN TOMASZ, WALERY — poźniej STASIA i PIOTR.

WALERY (*do pana Tomasza, niemego pod wrażeniem tryumfu.*)
Panie mój!...
(*słychać głosy z ulicy. Piotr wchodzi ze Stasią, i zostają w głębi pokoju.*)

PAN TOMASZ (*przejęty.*)
W tych krzykach
Słyszę wyraźnie imię moje... To mi radość!
Zwycięztwo mej teorji!...

WALERY (*porozumiawszy się oczyma z Stasią, gorąco.*)
O, więc teraz zadość
Niechaj się stanie sławie twojej!...
(*przyklęka przed panem Tomaszem.*)
Zbawco życia,
Błagam: zbaw jeszcze serce!...

STASIA (*rzucając się ojcu do nóg.*)
Ojcze!...

PAN TOMASZ (*zakłopotany.*)
Zkądś — z ukrycia
Wystrzeliłaś mi panna nagle!... (*łagodząc ton*) Nie przystało!...

STASIA.
Ojcze!...

PAN TOMASZ (*rozczulony.*)
No, no... bez płaczu... (*wybucha śmiechem.*)
Jam się okrył chwałą
Po tym — po tym — (*podnosi Walerego i patrzy mu w oczy*)
Ej, i ś c i e!... chociaż jeszcze siny,
Poczciwie patrzy jakoś... (*przyciskając go.*)
ten... wielki!...

WALERY i STASIA (*całują jego dłonie gorąco.*)
Jedyny!...

PIOTR (*na boku łzę ociera.*)
Szczęśliwi!... ale godni — godni szczęścia ludzie!...

WALERY (*biegnie do Piotra i ściska go serdecznie.*)
Przyjacielu mój!...

STASIA (*pogroziwszy obom palcem, do Piotra.*)
Drogi!...

PIOTR (*radośnie.*)
Niech żyje cud w cudzie!...
Bodaj to takie cudy — i takie odkrycia —
I taka nieśmiertelność...
(*podaje Waleremu wieniec laurowy z ziemi.*)
— i niebo... (*całuje dłoń Stasi.*)
— z a ż y c i a!

Koniec.

TEATR POLSKI.

(Do nr. 11).

W jakim stanie znajduje się scena polska na prowincji? W najgorszym. Obojętność ogółu, który nie rozumie znaczenia sceny prowincjonalnej, i w swej prostocie uważa ją za rzecz zbyteczną, w nieoświeceniu tego ogółu spoczywają dwie przyczyny składające się na to, że scena nasza na prowincji znajduje się w zupełnym upadku. Pierwszą jest to, że aktorowie nie mają odpowiedniego utrzymania; drugą: że nie są godni służby u ołtarza sztuki, będąc tak ciemnymi, jak i ci, którym światło nieść winni.

Z jakich ludzi składa się grono artystów (!) pierwszego lepszego teatru na prowincji, rozpoczynając od dyrektora? Są to zwykle indywidua, którym okoliczności (najczęściej lenistwo) nie pozwoliły jak chyba przejść początkowe klasy, nie nauczywszy się poprawnie czytać i pisać. Dalej, są to ludzie, których los wyrzucił z dotychczasowej kolei, którym uczciwa praca z rozmaitych względów nie przypadła do gustu, i poszli szukać łatwego chleba — zostali a r t y s t a m i!

Trafem zabłąka się pomiędzy tych ludzi człowiek z wykształceniem, ale na to chyba, by poznawszy: kim są owi a r t y ś c i, podziękować za ich towarzystwo, i opuścić świątynię, takich mającą kapłanów.

Bez wykształcenia, nie mając podstaw moralnych, aktorowie nasi znajdują się w pozycji, która karmiąc nadzieję, każe przeżyć d z i e ń d z i s i e j s z y... Otoż i cel ostateczny aktora. Sztuka gra tu rolę podrzędną; jest pozytywką, psem skaczącym, wszystkiem — co daje sposób przeżycia... Obojętny na rozwój teatru ogół, nie interesuje się aktorami; patrzy na nich z mniej-więcej uzasadnioną pogardą, i pozostawia własnemu instynktowi. „Nie interesujemy się wami — żyjcie jak sami chcecie“ — to czytają aktorowie w fizyognomji publiczności uczęszczającej i nie uczęszczającej do teatru.

Ta pewność, że się jest obcym ogółowi, że ma się własny świat w świecie ogólnym — nadaje aktorstwu u nas cechę zupełnej odrębności.

Aktor wyróżniany od innych ludzi, sam się od nich wyróżnia; pogardzany — światem pogardza; miany za skoczka i wydrwigrosza — ludzi uważa za głupców, których powinien wyzyskiwać; słowem odpłaca sowicie i taką monetą, jaką mu zapłacono. Cóż z tego wynika? Oto, że aktor lekceważy sobie opinję ludzi nie aktorów, i postępuje nie jak się światu podoba, ale jak jest przyjęte w świecie zakulisowym; a tu panują wręcz odmienne gusta. — Nie powiem jakie... dość, że aktor we własnem i w sumieniu współtowarzyszów nie czuje się winnym, jeżeli z każdego miasta, wraz z dyrekcją, ucieka za długi, jeżeli z rachunku na 100—90 przypada dla sklepu korzennego, a tylko 10 na chleb i inne wydatki... nie uznaje się winnym zatargów, kończących się mniej-więcej nie honorowo; nie widzi w tem złego, że w karty przegrał ostatnią koszulę, lub tę koszulę od drugiego wygrał... i jeśli mu człowiek ze świata ręki podać nie chce — drwi z niego! i czuje się być odeń o całe niebo wyższym!

Takimi są nasi aktorowie jako ludzie. Czyja to wina?... niech odpowie Ogół.

Kim są dyrektorowie teatru? Kość z kości aktorów! szczęśliwcy, którym dano jest od nieba mieć: koncesję rządową, parę nędznych dekoracyj, zdolność życia na kredyt i skupienia przy sobie niespokojnego żywiołu: jakim są aktorowie i aktorki. (O tych przemilczam...)

Towarzystwo z dyrektorem na czele — to załoga okrętu na morzu nieprzyjaznem. Trzeba dobrze sterować, by nie znaleźć grobu w jego zimnem wnętrzu.

Przyjechał teatr do miasteczka! Postawiono scenę; rozlepiono odezwę, napisaną z pokrzywdzeniem loiki i gramatyki; dyrektor udał się do w i e l k i c h miasta; artyści do korzennego sklepu r o b i ć p r z y j a c i ó ł... W i e l c y przyrzekli dyrektorowi swoją protekcję; podchmieleni przyjaciele zaręczają, że do teatru będą uczęszczać jak nigdy, i p o d a d z ą a k t o r ó w d o g a z e t. Pod najlepszą wróżbą rozlepiono afisze ośmnastoobrazowego dramatu o trzech tytułach; podnosi się kurtyna — w teatrze pustki! I tak nazajutrz, tak po tygodniu, i będzie tak zawsze — bo inaczej być nie może!... Długi rosną, kredyt coraz to mniejszy... ratunku! Ratunkiem są b e n e f i s a. Wiecie co to znaczy? Beneficjant zabiera pakę afiszów wraz z biletami na przedstawienie, i chodzi od domu do domu, prosząc o kupno biletu na j e g o dochód... Na domów trzydzieście, w jednym wezmą bilet za 1 złr. — i to szczęśliwie! Kiedy od świtu do nocy

chodząc, sprzeda tym sposobem beneficjant 20 biletów — jest to znakiem, że benefis będzie dobry, bo z obrachunku przypadnie mu co już najmniej 2 złr. i kilkanaście centów, nie licząc w to naddatków, które w imaginacji wolno jest posunąć beneficjantowi do poważnej sumy 10 złr!...

To nie przesada — to rzeczywistość, sprawdzona na gruncie.

Przy takim stanie rzeczy, pytamy: czy możliwem jest, ażeby teatr był dobrym?... Obaczmy. Cieśla, drwal wreszcie, przy sprzyjających okolicznościach mogą zarobić dziennie 1 złr., i panowie ci nie potrzebują wykwintnego stroju, wymyślnych potraw i pomieszkania na pierwszem piętrze. Aktor musi mieć cienkie suknie i takąż bieliznę, mieszka w zajezdzie, je w traktjerni, potrzebuje farb, rękawiczek i tysiąca innych drobnostek, bez których jako aktor istnieć nie może... Wiecież ile on zarabia dziennie? Jeżeli 1 złr., jak ów drwal, to należy do aktorskiej arystokracji, bo grywa pierwsze role; większość obejść się musi 50 cnt. dziennie, lub mało co od tego więcej. Aktor pierwsze stanowisko zajmujący, który przy tem jest reżyszerem, otrzymuje gaży 50 złr. miesięcznie!... Do tej sumy sięga kres możliwości zasług; ale ona — uważcie — dostępną jest tylko dla j e d n e g o... Szczęśliwy! jakże mu zazdroszczą ci, którzy całe życie obyć się będą musieli 20—30 złr. miesięcznie!...

A teraz już możemy dziwić się: dlaczego aktor patrzy na świat jak na wroga? dlaczego wzajemnie darzą się pogardą?... Zaprawdę! zasłużyliśmy takich mieć kapłanów, my, którzy na ważności ich stanowiska poznać się nie umiemy. Tak! pędźmy wódkę, hodujmy świnie — to więcej znaczy dla kraju, aniżeli dobry teatr!...

Za granicą źle zrozumiano interes kraju, wydając miljony na teatr; nasze prowincje Zabrane były rozrzutnemi wznosząc piękne gmachy dla teatrów w takich miasteczkach, jak Jarmolińce, Biała cerkiew i inne... My w Galicji, w najludniejszych miastach nie chcemy dać teatrowi czterech ścian nagich, nie damy mu nawet bezpłatnie miejsca, na którem by mógł swą budę wystawić... bo dla nas teatr zbyteczny! Czyliż nie mamy niezawisłego bytu?... nie jesteśmyż 20 miljonowym narodem, którego żadne kordony nie dzielą?... głosu naszego czyliż nie słucha Europa?... nie mamy-ż akademij i setki towarzystw uczonych, tysiące pisarzów i ksiąg miljony?... Teatr dla nas jest rzeczą zbyteczną!

Co do mnie, jestem odmiennego zdania, i dla tego idę dalej.

Na innem już miejscu mówiłem, że teatr p. W o ź n i a k o w s k i e g o ma tę wielką zasługę, że dociera do miejsc, w których nigdy przed tem teatru nie było, i tym sposobem rozbudza życie w zakątkach nie mających o niem wielkiego pojęcia.

Pan W o ź n i a k o w s k i obok zdolności scenicznych (jest wcale dobrym aktorem) ma jeszcze zmysł dyrektorski, a kilkoletnia praktyka zrobiła zeń przedsiębiorcę, któren — jak niejedno przetrwał — tak też wielom jeszcze przeciwnościom czoło postawi, i prawdopodobnie do ostatniej chwili wytrwa na stanowisku. Swoją drogą, bardzo możliwe, a prawie jest pewnem, że w walce sterawszy siły, dyrektor na starość znajdzie się w bardzo przykrej pozycji. Lecz to się dzieje zwykle u nas... Taką starość mają nasi uczeni, pisarze, artyści; dlaczegożby jej mieć nie mógł dyrektor teatru?

Repertoarz teatru p. W. wcale jest dobrym; przedstawienia niekiedy wypadają bardzo dobrze, bo dyrektor sam jest kierownikiem sceny, i wcale zdolnym reżyszerem.

W swoim zakresie działań p. W. dobrze zasługuje się krajowi, i nie możemy odmówić mu naszego uznania.

Teatr pp. M o d r z e j e w s k i e g o i Ł o b o j k i jednakie mają zalety; dla tego razem o obu powiemy słów kilka.

Rozpoczynamy od tego, na czem skończyć wypada: że w interesie ogólnego dobra w znaczeniu najszerszem, teatra te powinny być zwinięte. Są to żywe wyrzuty sumienia obojętności ogółu dla sceny, ale tak wstrętne, że je usunąć należy.

Obaj dyrektorowie nie mają żadnego wykształcenia; jako aktorowie — bez zdolności, jako dyrektorowie są ludźmi tego rodzaju, że przenosząc się z miasta do miasta, w każdym muszą ucinać poły... a teatra ich w całym składzie — to grozę wzbudzający przykład: jak nisko upaść może sztuka, gdy u steru stoją ludzie bez namaszczenia — „Przekupnie w świątyni Pańskiej...“

Ktoby chciał w Galicji mieć drzwi domów przed sobą zamknięte — niechaj powie, że jest z teatru p. Łobojki, lub Modrzejewskiego... Nie znamy ludzi, od których bardziej by stroniono, jak od członków dwóch tych teatrów. Są to parjasi nie tylko w społeczeństwie, ale nawet pomiędzy aktorami...

Serce krwią zabiega na widok, jak tu nisko upada narodowa scena, jak z niej zrobiono — mniej aniżeli szopkę!... O doborze sztuk — nie mówimy! o przedstawieniu ich można mieć wyobrażenie wtedy tylko, gdy się będzie widzem jak 15letni chłopcy grywają role starców, ochrypli niezgrabusi — kochanków, panie, którym właściwie było zostać dozorczyniami szpitalów — role amantek i bohaterek!

Jeżeli obojętny ogół, nabrał odrazy do przedstawień scenicznych, a miasto ze zgrozą dowiaduje się o przybyciu teatru w jego mury, i obwarowuje się jak przeciw najazdowi Tatarów — tego to rodzaju, tym należy zawdzięczyć teatrom!

Powtarzamy: dobrodziejstwem dla wszystkich będzie, jeśli rząd zwinie dwa te teatra, i czuwać zechce, by inne nie poszły temi drogi.

Na tej pustyni Saharyjskiej, którąśmy tu rzutem oka przebiegli, jedną spotykamy palmę, w której cieniu swobodnie odetchnąć można. Tą samotną palmą, jest teatr p. Sztengla, o którym pomówimy obszerniej, bo ze wszechmiar na to zasługuje.

Rozmaitości.

* (Nadesłane).

Do obywatela Zygmunta Miłkowskiego. Obywatelu! Ze wszech stron dochodzą mnie wiadomości, iż dawni i nowi towarzysze spólnej nam wszystkim tułackiej niedoli, chcieliby uorganizować stałą dla mnie pomoc. Z uczuciem żywej wdzięczności dowiaduję się o tem, bo rzeczywiście nie ma nadziei, abym mógł nadal zapracować na utrzymanie życia. W tak smutnem położeniu, bratniej pomocy szczerem sercem ofiarowanej, przyjąć nie waham się. Owszem, aby jej organizację ułatwić, upraszam niniejszem, ciebie szanowny obywatelu, jako też obywateli Aleksandra Gutrego i Erazma Malinowskiego, abyście tem zająć się chcieli, w sposób jaki za najwłaściwszy uznacie. Nie odmówicie mi tego, pewny jestem, kiedy dotychczas zaszczycaliście mnie tak serdeczną życzliwością.

Pozdrowienie i braterstwo, W. Heltman.

Do wychodźtwa polskiego. Obywatele! Na podstawie powyższego listu zawiązawszy się w Komitet zaopatrzenia obywatela Wiktora Heltmana, wzywamy was niniejszem do przyjścia z regularną a stałą pomocą dla męża, który styrawszy siły na usługach Ojczyźnie, dotknięty starością i ciężką niemocą, nie jest w stanie zapracować na kawałek powszedniego chleba.

Pomoc wasza, będzie to hołd, oddany zasługom; będzie to dopełnienie obowiązku narodowego, będzie to oraz zaszczyt dla tych, co się do niej przyczynią.

Lecz potrzeba, ażeby była regularną i stałą. Wzywamy was przeto do opodatkowania się na rzecz Heltmana, do przeznaczenia dla niego miesięcznie pewnej drobnej cząstki dochodów, jakie ma każdy, nawet najuboższy. Kto może dać franka, niech się zobowiąże płacić centimów 50; kto nie jest pewny, że będzie miał w każdym miesiącu do dania centimów 50, niech się zobowiąże dawać 10. Niech się nikt wysokim nie obciąża datkiem, ale niech się każdy zobowiąże i zobowiązania dotrzyma.

Kasjerem Komitetu Zaopatrzenia jest obywatel Erazm Malinowski (*5, Place de la Chapelle, Bruxelles*). Na jego ręce, obywatele, przysyłajcie *franco* deklaracje, bądź pojedyńczo, bądź — wybrawszy z pomiędzy siebie w miejscowościach, gdzie większa ilość wychodźców przebywa, poborców — w formie listu, ażeby możliwem było obrachowanie z góry dochodu, jaki Emigracja polska dla swego weterana przeznacza. Upraszamy również, obywateli datkujących, ażeby, celem uproszczenia rachunków, urządzić się zechcieli w taki sposób, iżby przed 1. każdego miesiąca wszystkie datki skoncentrować się mogły w Komitecie zaopatrzenia. Kto by chciał dać z góry za kilka miesięcy lub za rok, niech da; komitet ze swojej strony, zobowiązuje się do składania kwartalnie szczegółowych rachunków.

Obywatele! pewni że wezwanie nasze trafi do serc i przekonań waszych, upraszamy was o pośpiech. „Dwa razy daje kto prędko daje" — zwłaszcza, gdy chodzi o poratowanie na resztę dni człowieka, pogrążonego w niedostatku i trapionego chorobą.

Cześć i pozdrowienie! Aleksander Guttry, *45, rue Pont d'Ile à Liége*. Zygmunt Miłkowski, *74, rue Berckmans, á Bruxelles*. Erazm Malinowski, (kasjer komitetu zaopatrzenia), *5, Place de la Chapelle, a Bruxelles*.

Liége, dnia 2. lutego 1868.

* W niedzielę 1. marca, w sali ratuszowej, p. Ł. Tatomir będzie miał wykład „O Kaźmierzu Wielkim." Prelegat, jako pisarz, celuje pięknym językiem, a z prywatnych lekcyj znanym jest jego wykład jasny i dobra wymowa — zalety, któremi nie każdy może się pochlubić.

* Książę Iturbide, wnuk przedostatniego cesarza Meksyku, którego adoptował Maksymiljan, przybył niedawno do Rzymu, i zaciągnął się jako prosty żołnierz do papiezkich dragonów. Rząd austrjacki daje mu rocznej pensji 50.000 franków. Młody ten chłopiec (nie liczy więcej jak lat 20) nie przyjął godności adjutanta cesarskiego, ofiarowanej mu we Wiedniu, mówiąc — że nie chce nikomu służyć, tylko Ojcu świętemu. Nie chcąc odróżnić się niczem od swych towarzyszów broni, zamieszkał wraz z nimi w koszarach. Pius IX. dawał mu stopień majora — lecz on nie przyjął. Młody książę stał się we wiecznem mieście pierwszym lwem o którego przyjaźń dobijają się wszystkie arystokratyczne domy.

* „Monit. industr." podaje następujące ciekawe szczegóły o cesarstwie tureckiem. Cesarstwo tureckie ma przestrzeni kilometrów kwadratowych 2,085.596, a ludność tak w Europie, jak w Azji i Afryce 24 miliony. Konstantynopol z ludnością niestałą liczy 1,100.000 mieszkańców. W roku 1865 dług wewnętrzny Turcji wynosił 30,000.000 funt. szterl. Armja w tym samym roku na stopie wojennej liczyła 170.376 ludzi, a na stopie pokojowej 148.680 żołnierzy. Produkcja ogólna całej Turcji ocenioną jest na dwa milardy 500,000.000 fr. i ciągle wzrasta, pomimo tego, że nieład tam ogromny i postęp europejski bardzo mało tam znaczy. Przywóz do Turcji oceniony jest na 335,000.000 fr., z tego Anglja wprowadza za 130,000.000 fr., Francja za 90,000.000 fr., Niemcy i Austrja razem za 32,000.000 fr., Holandja za 30,000.000 fr., Szwajcarja, Moskwa, Ameryka, każde za 10,000.000 fr., Rumunja za 8,000.000 fr., Włochy i Belgja każde po 6,000.000 fr., w końcu Grecja za 3,000.000 fr. Wywóz zaś z cesarstwa tureckiego czyli Turcji właściwej, Egiptu, Serbji i Rumunji, dochodzi do znacznej sumy 1,669,447.205 fr. Najwięcej wywożą bawełny, jedwabiu, lnu, zboża, oliwy, tytoniu i skór. Gdyby Turcja, dodaje powyższy dziennik, miała inny rząd, kraj ten w krótkim czasie zmieniłby się do niepoznania, i stałby się dostarczycielem wielu przedmiotów, których zbywa Europie.

* (Statystyka żydów.) Między sławianami żyje około 2,800.000 żydów. Z tych przypada na Czechy 120.000 na słowian austrjackich 710.000 a na Moskwę 1,800.000.

* Teatra paryzkie wielką mają wartość; teatr rozmaitości przynoszący 85.000 fr. rocznego dochodu, sprzedany został za 1,050.000 fr.; teatr Folies Marigny przynosił 10.000 fr., sprzedano go za 62.500 fr.; Ambigu cemique przynosił 109,450 fr., wzięto za niego 1,236,000 fr.; teatr Montmarte przynoszący 12.955 fr.; sprzedano za 126.000 fr. Działo się to w roku 1866.

* Listy do Hiszpanji i Portugalji. Zdarza się często, że na listach przeznaczonych do Hiszpanji i Portugalji znajdują się adresy niemieckie, napisane niemieckiemi literami. Ponieważ urzędnicy pocztowi w obu tych krajach w ogóle nie znają języka niemieckiego, zdarza się często, że listy takie zalegają bardzo długo, lub wcale nie dostają się na miejsce przeznaczenia. Z tego powodu gazeta wiedeńska zawiera rozporządzenie polecające pisać adresy na listach przeznaczonych do Hiszpanji i Portugalji literami łacińskiemi.

* (Teatr.) Arcydzieło przedstawiane na scenie, której dyrektorem jest p. Miłaszewski — to zakrawa na ironję!...

21. b. m. uczęstowano nas parodją trajedji Szekspira p. t. *Romeo i Julja;* parodją razem wziętych: przekładu, podziału scen, rozdania ról i ich wykonania. Od pamiętnego „Juliusza Cezara" druga to feta, którą rzecz dziwna! znowu zawdzięczamy benefisowi. „Cezara" dał namp. Kaliciński, „Romea" p. Wilkoszewski. Dzięki im obu, a największe panu Miłaszewskiemu, któren *Dafnisa i Chloe* dając o próbach trzydziestu — dla Szekspira dwóch nie żałował... któren płacąc p. Waligórskiemu za tłumaczenie arcydzieł jak *Załoga okrętu*, dał nam Szekspira w przekładzie tak doskonałym, że w nim zginął arcymistrz, a pozostał tłumacz „w tej dobie a któren to frazes szłyszeliśmy w Romeo niezliczoną ilość razy... panu Miłaszewskiemu, któren ma staranie o *Pensjonarkach*, a Romeo posiekał na szopkowe odsłony... któren myśli o *Dziesięciu córach*, ale nie troszczy się wcale: jakim sposobem aktor zdoła umieścić pochodnię w grobie Julji, by nie upadła na ziemię... Dzięki mu, dzięki!

O całości przedstawienia nie mamy co mówić! Beneficjant tak dalece zwątpił o Romeu, że nie nauczył się roli, i ani pomyślał, że kochanek Julji inaczej wygląda, aniżeli Kasperek!...

Pani Nowakowska wywiązała się ze swej roli bardzo dobrze, wyjąwszy sceny ostatniej, która wymaga większej siły. Tupanie nogą nie odniesiemy, jak inni, na karb nieumienia roli... robimy jednak uwagę, że artysta w żadnym razie nie powinien zapominać, iż jest na scenie!...

Pan Kajetanowicz (Mercutio) po raz pierwszy występując w roli znaczniejszej złożył dowody niepospolitego talentu. Gdybyśmy wiedzieli, że to się na co przyda, zwrócilibyśmy uwagę dyrekcji na debiutanta; ale to będzie „głos wołającego na puszczy"...

23. w niedzielę przedstawiono *Paproć* Juljusza Sztarkla. Rzecz ładna, ale nie rozwinięta należycie. Widz nie wie: dla czego Roman zostaje pozbawionym czarodziejskiego kwiatu paproci; główną zaś wadą sztuki jest to, że autor zwrócił uwagę widza na Antosię i figury ją otaczające, kiedy przeciwnie Kasia, Roman i włość stoją na drugim planie.

Role rozdano nie właściwie. Pan Szymański, mimo najlepszej woli, nie mógł być góralem; pani Nowakowska siliła się na oddanie roli, która najwłaściwiej przypada do talentu panny Góreckiej. Jeden tylko p. Linkowski był wybornym w roli *Żołędzia*. P. Doroszyński ubawił publiczność grą pełną humoru i udatnemi śpiewkami. P. Dębicki zrobił z Wojtusia niesmacznego głupca.

Na jutro zapowiedziany *Faust* Götego. Nowa profanacja sztuki! Podziwiamy wytrwałość dyrekcji, która od dwóch lat wmawia w pp. Królikowskiego i Linkowskiego, że mogą być: pierwszy Faustem, a drugi Mefistem; a teraz znów p. Szymańskiemu kazano być Wagnerem?! O, dyrekcjo! ty już przystajesz gniewać — ty śmieszysz!...

Dodatek: **Piosnka z towarzyszeniem fortepianu. Muzyka Feliksa Lipińskiego.**

TREŚĆ:

Na stepie (dok.). — *Po śmierci.* (dok.). — *Teatr polski.* — *Rozmaitości.*

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.